



Pod znakiem Caritas

Zdolni na wakacjach

tekst

MAGDALENA KOZIEŁ

redaktor wydania

Trwają właśnie gorące dni olimpiady. Wielu z nas na dobre zostało unieruchomionych przed telewizorami. Jednak nie wszyscy temu się poddali. Znam takich, którzy mimo że nie stronią od sportowych emocji, to w ramach protestu przeciw chińskiej dyktaturze postanowili olimpiady nie oglądać. O olimpijskich doświadczeniach z naszego podwórka można przeczytać na str. III. – Ważne, aby „wystąpić w dobrych zawodach, ukończyć bieg i ustrzeż wiary” – to przesłanie nie tylko św. Pawła Apostoła.

W roku szkolnym otrzymują pomoc finansową, **na wakacje – wspólny wypoczynek.** Czy będzie tak dalej?

W Bukowcu k. Karpacza dwutygodniowy obóz przeżywało ponad 50 stypendystów Funduszu im. bp. Adama Dyczkowskiego, programu „Skrzydła” oraz sieci Carrefour i zielonogórskiej PGNiG. Stypendia, których w sumie jest ponad 120, rozdziela diecezjalna Caritas, organizator wypoczynku. – Takie obozy odbywają się w każde wakacje – mówi kierowniczka Beata Leśniak. – Widać tu, że to jest zdolna i aktywna młodzież – dodaje.

Natalia Barczyszyn z Miłakowa drugi rok jest stypendystką Funduszu im. bp. A. Dyczkowskiego. – To stypendium pozwala nam się rozwijać – mówi. Pasją piętnastolatki jest aktorstwo, należy do szkolnego kółka teatralnego, ale chciałaby



KS. TOMASZ GIERASIMCZYK

Oprócz obozu stypendystów w Bukowcu była też kolonia Caritas

studiować resocjalizację. Już dziś jako wolontariuszka odwiedza dom dziecka.

Marek Sokołowski z Cigacic uczy się w zielonogórskim LO. Przyszłość wiąże z medycyną. Teraz jest wolontariuszem PCK i stypendystą programu „Skrzydła”. – Mamy też spotkania w ciągu roku. Poznajemy

wtedy duchowość i życie Kościoła oraz siebie nawzajem – mówi.

Niestety, letnie obozy są zagrożone. – Wszystko zależy od finansów. Trudno dziś pozyskać ofiarodawców – mówi ks. Andrzej Kołodziejczyk, wicedyrektor diecezjalnej Caritas i opiekun duchowy stypendystów. **xtg**

Strzeżonego Pan Bóg strzeże



KS. TOMASZ GIERASIMCZYK

Od początku wakacji w lubuskich wodach utonęło już 13 osób. Tylko w pierwszych dniach sierpnia zginęło sześciu mężczyzn. Woda pochłonęła ofiary w miejscowości Lgiń pod Wschową, w Lubniewicach, Strzelcach Krajeńskich Gorzowie nad jeziorami Lubikowo w powiecie międzyrzeckim i Konin k. Trzciela. Najmłodszy był 24-latek z Przylepu, najstarszy – 73-letni obywatel Niemiec. Wakacje zbliżają się do końca. Jednak pogodnych dni i okazji do spędzania ich nad wodą będzie pewnie jeszcze sporo. To, czy zapamiętamy je jako wspaniałe chwile, zależy w znacznej mierze od nas. **xtg**

JEZIORO I WAKACJE wywołują czasem niepohamowany entuzjazm. Ale skoki do wody sięgającej ledwo po pas to zupełna bezmyślność

Był tutaj góralem



**Ks. kan. Benedykt Pacyga
1933–2008**

ŚWIEBODZIN. Uroczystościom pogrzebu ks. kan. Benedykta Pacygi 6 sierpnia przewodniczył w kościele parafialnym pw. św. Michała Archanioła i na cmentarzu komunalnym bp Stefan Regmunt. – Było w tobie tyle energii i nadziei – wspominał w homilii swą niedawną rozmowę z nieoczekiwanie zmarłym kapłanem. W liturgii wziął udział także bp Paweł Socha, licznie przybyli księża, siostry zakonne, alumni seminarium i tłumy wiernych.

„Jestem góralem i będę was bronił. A jak trzeba będzie, życie za was położę”, brzmiały słowa pierwszej homilii, jaką wygłosił ks. Pacyga, gdy dokładnie 30 lat temu obejmował świebodzińską parafię. Przypomniał je Ryszard Łotarewicz, prezes tutejszej Akcji Katolickiej. – Słowa

dotrzymałeś, broniłeś nas przed ideologią materialistyczną, nąłogami, zakłamaniami i niewiarą – mówił w pożegnaniu. Bezkompromisową postawę i świadectwo wiary swego duszpasterza wspominała też świebodzińska „Solidarność”, którą ks. Pacyga wspomagał, zwłaszcza po wprowadzeniu stanu wojennego. O jego społecznej wrażliwości w wolnej już Polsce mówił także przedstawiciel burmistrza Tomasz Olesiak i starosta powiatu Zbigniew Szumski. – Był dla nas jak ojciec, uczył słuchać i szanować drugiego człowieka, bardzo interesował się naszym miastem – wspominali honorowego obywatela Świebodzina. W ostatniej drodze uczestniczyła też delegacja parafian z Jasienia, gdzie w latach 1969–1978 ks. Pacyga był proboszczem, na co nie chcieli wyrazić zgody ówczesne komunistyczne władze. Przybyli też parafianie z Bukowiny Tatrzańskiej, rodzinnej miejscowości zmarłego.

Ks. Benedykt Pacyga urodził się w 1933 roku. Ukończył seminarium duchowne we Wrocławiu i przyjął święcenia w 1960 roku. Był wikariuszem w Wałbrzychu, Wrocławiu i Głogowie, a proboszczem w Ciepłowodach, Jasieniu i Świebodziźnie. Był wieloletnim spowiednikiem i wykładowcą łaciny w paradymskim seminarium. 1 sierpnia tego roku przeszedł na emeryturę. Zmarł nazajutrz w szpitalu w Nowej Soli. **xgt**



Uroczystościom pogrzebu towarzyszyła kapela z Bukowiny Tatrzańskiej

Dawna muza w kościołach

GORZÓW WLKP. Zakończyły się III Gorzowskie Spotkania z Muzyką Dawną. W dniach 4–9 sierpnia wystąpiły zespoły: Preambulum z Gorzowa, Gregorianum z Warszawy, Semibrevis z Kalisza, Sine nomine

z Lublina oraz Portamento (na zdjęciu) ze Starachowic. Koncerty odbywały się w katedrze, kościołach ojców kapucynów i oblatów oraz w kościele pw. Najświętszego Zbawiciela. Imprezę zorganizował Grodzki Dom Kultury.



KS. TOMASZ GIERASIMCZYK

KAMIL na wakacjach

GŁOGÓW. W ubiegłą niedzielę zakończył się 10-dniowy Kurs Animatorów Muzycznych i Liturgicznych (KAMIL). KAMIL to wakacyjne połączenie Kursu Animatorów Muzycznych Oazy (KAMUZO) z Kursem Oazowym Diakonii Animatorów Liturgicznych (KODAL). W obu kursach wzięło udział 20 uczestników, w tym 1 spoza naszej diecezji. – Staramy się pokazać młodym, że Msza św., pięknie przygotowana, może poruszać serca – mówi moderator ks. Dawid Pietras. **fk**



KAMUZO to też zajęcia muzyczne

Na Ukrainę

DIECEZJALNA CARITAS przekazała na prośbę Caritas Polskiej 5 tys. złotych na rzecz ofiar powodzi na Ukrainie. Caritas Polska chce przekazać na ten cel co najmniej 70 tys. euro.

Na ochotnika

ZIELONA GÓRA. Trwa wakacyjna akcja „Wolontariusze dzieciom”. Prowadzą ją Centrum Wolontariatu diecezjalnej Caritas. Odbyło się 14 bloków tematycznych, m. in. taneczny i zajęcia z pierwszej pomocy. Wzięło w nich udział ok. 180 dzieci z miejskich półkolonii.

Tablica pamięci

GÓRZYN. W tutejszym kościele odsłonięto tablicę upamiętniającą postać ks. Ryszarda Stawickiego, byłego proboszcza miejscowej parafii pw. Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny.

GOŚC ZIELONOGÓRSKO-GORZOWSKI
zgg@goscniezielny.pl

ADRES REDAKCJI: 65-075 Zielona Góra
pl. Powstańców Wielkopolskich 2

TELEFON 068 411 02 54

REDAGUJĄ: ks. Tomasz Gierasimczyk – dyrektor oddziału, Magdalena Kozielec, Krzysztof Król

Reportaż olimpijski

Mama w kimonie

Gdy oczy świata skupione są na stadionach Pekinu, jej historia pokazuje, że **są jeszcze większe zwycięstwa od tych sportowych.**

Maria Gontowicz-Szałas to jedna z najlepszych polskich dżudoczek. Rodowita gorzowianka zaślęła jako pierwsza Polka, która stanęła na podium mistrzostw świata w tej dyscyplinie. Czterokrotnie zdobywała medale mistrzostw Europy i sześć razy mistrzostwo Polski. Przed szesnastu laty w Barcelonie walczyła na olimpijskiej macie.

Przez wskazanie

– Moje życie od początku było walką – uśmiecha się, tłumacząc swe zamiłowanie do dżudo. Pochodzi z wielodzietnej rodziny. Drobna i małowmowa, ale silna i energiczna, zawsze miała talent do sportu. W ogólniaku trenowała koszykówkę i lekkoatletykę, ale w 1980 roku wstąpiła do sekcji dżudo AZS-AWF w Gorzowie. Trenerzy szybko zorientowali się w nieprzeciętnych zdolnościach piętnastolatki, a treningi sprawiły, że już dwa lata później Maria Gontowicz wygrała mistrzostwa Polski seniorek. To trofeum zdobywała jeszcze pięć razy. Wygrywała liczne turnieje, a jej popularność rosła, o czym świadczą coraz wyższe miejsca w plebiscytach na najlepszego sportowca. Trzy razy była trzecia na mistrzostwach Europy, a raz zajęła miejsce drugie. O mały włos nie została mistrzynią świata. W 1986 roku w holenderskim Maastricht przegrała walkę o złoty medal z Brytyjką Huges. O wyniku nie zdecydowała żadna akcja techniczna ani przewaga punktowa rywalki, a jedynie wskazanie sędziów. Tego samego roku Maria Gontowicz wygrała jednak prestiżowy Międzynarodowy Turniej Dżudo w japońskiej Fukoce. W finale znów zmierzyła się z Huges. I znów pojedynek był wyrównany, ale tym razem sędziowie wskazali na gorzowiankę.

Siódma i koniec

– Poznaliśmy się na zgrupowaniu – mówi Mirosław Szałas, od dwudziestu jeden lat mąż Marii. – Też trenowałem dżudo, ale nie mogłem się porównywać z jej sukcesami – dodaje. Jednak ten największy sportowy sukces miał dopiero nadejść. Zbliżyła się rok 1992 i igrzyska olimpijskie w Barcelonie. To było rodzinne oczekiwanie, bo na świat przyszły już dzieci Marii i Mirosława, Damian i Kasia. – Przed całym rokiem przygotowano do olimpiady Maria



Maria Gontowicz-Szałas startowała w kategorii do 56 kilogramów. Międzynarodowa Federacja Dżudo przyznała jej mistrzowski trzeci dan (san dan)

była właściwie na wyjeździe – wspomina Mirosław. Niestety, mimo intensywnej pracy nie udało się zdobyć olimpijskiego medalu. Maria Gontowicz-Szałas wywalczyła siódme miejsce. – W dżudo staje się oko w oko z przeciwnikiem i nie można schować się za plecami kogoś z drużyny. W każdej chwili można walkę przegrać lub wygrać. Czasem zawodnik prowadzi na punkty, a w ostatniej sekundzie przegrywa – tłumaczy Mirosław. Siódme miejsce to nie był zły wynik, ale pomógł podjąć pewną decyzję. – Postanowiłam zakończyć karierę. Chciałam mieć czas dla rodziny – wspomina Maria. Wielu do dziś uważa, że gdyby walczyła dalej, cztery lata później w Atlancie miałyby szansę, kto wie, czy nie większe. Ale teraz czekały ją jeszcze trudniejsze wyzwania.

Sześć cesarek

– Każda następna olimpiada, letnia i zimowa, przynosiła nam... kolejne dziecko – opowiadają małżonkowie. Dziś mają ich siedmioro. To samo w sobie jest niecodzienne, ale jest jeszcze coś, co można uznać za wprost fenomenalne. Otóż wszystkie dzieci urodziły się

– Małżeństwo też bywa sportem walki – żartują Maria i Mirosław

przez cesarskie cięcia. Lekarze już przy trzecim dziecku sugerowali matce aborcję. Nigdy się na to nie zgodziła. – Dla mnie każde życie jest święte – mówi bez cienia wahania. Za każdym kolejnym razem prorokowano też, że ona sama nie przeżyje. Tym bardziej że w tym czasie przechodziła inne operacje, które miały poprawić jej zniszczone wyczeranym sportem zdrowie. – Przy ostatniej cesarce wzięłam lekarza za rękę i powiedziałam: Niech pan robi swoje. To będzie też pański sukces. I urodziły się zdrowe bliźniaczki: Martyna i Agata – wspomina mama. – Bałam się, ale dziś wiem, że nawet sześć cesarek jest możliwe – przekonuje.

Największy sukces

– Rodzice wychowywali mnie po katolicku, ale po Barcelonie trafiłam na katechezy neokatechumenalne i do wspólnoty. Zobaczyłam wtedy wiele rzeczy na nowo – mówi Maria. We wspólnocie przy parafii pw. NMP Królowej Polski jest do dziś. Skromna, cicha, wytrwała. Czasem bywa tu także jej mąż. – Wspólnocie wiele zawdzięczam. Siostry i bracia modlili się przy każdej cesarce, a po ciężkiej operacji kregosłupa karmili mnie łyżeczką, bo zupełnie nie mogłam się ruszać – wspomina. Gdy wstała, musiała znów brać się za bary z życiem, myśleć o rodzinie, utrzymaniu, wychowaniu dzieci i, gdzieś na końcu, o własnym zdrowiu. Gdyby wtedy w Barcelonie stanęła na podium, miałyby, prócz sławy, także olimpijską rentę, a tak? O takich sportowcach co najwyżej pisze się wspomnieniowe książki. A jest co wspominać. – Cieszę się z moich sukcesów. Byłam w wielu miejscach w Europie, w Japonii, USA czy w Izraelu. Jednak największą satysfakcję sprawia mi to, że jestem żoną i matką – wyznaje po latach Maria Gontowicz-Szałas. – Ważne, aby „wystąpić w dobrych zawodach, ukończyć bieg i ustrzec wiary” – przywołuje słowa św. Pawła Apostoła. – Chciałabym przekazać ją swoim dzieciom.



Ks. Tomasz Gierasimczyk

Scena integruje mieszkańców

Teatr wielki jak Cigacice



Może to niewielka miejscowość. Ale za to jaki ma teatr! –

Jak się chce, to da się coś zrobić wszędzie – zapewnia Waldemar Włodek z Nowego Świata k. Cigacic.

Teatr w Cigacicach powstał dwa lata temu. To pomysł Marty Woźnińskiej, nauczycielki z tutejszej szkoły podstawowej. Stworzyli go nauczyciele i rodzice. Zaczęli od „Królowej Śnieżki”. Sztukę reżyserował nie byle kto, bo sam Dariusz Kamys, kiedyś aktor kabaretu „Potem”, a dziś „Hrabi”. – Najpierw miałem tylko pomóc, a później zostałem reżyserem – mówi. Grupa z Cigacic poszła za ciosem i rok później wystawiła program kabaretowy „Bajki dla potłuczonych”. W tym roku też sięgnęli do repertuaru „Potemowców” i w marcu wystawili po raz pierwszy „Różne takie story”.

Grają w nim nauczyciele, suwnicowa, mechanik samochodowy, kierowca, konserwator maszyn biurowych, pracownica sądu, operator wózka widłowego i inni.



– Pomysły i wykonanie strojów to nasza robota. Teatr to świetna zabawa i relaks – mówi nauczycielka Arleta Kobyluk (z LEWEJ)

PONIŻEJ: Strzały padały kilkakrotnie. Łukasz Kilanowicz (NA ZDJĘCIU) umierał dwa razy. Jako Romeo i jako szeregowiec

– Na pewno jest stres, trema, zasychanie w gardle i zdarza się zapomnieć czasem tekstu – mówi Beata Chodacka, która pracuje w świetlicy dla dzieci.



Byli też król Jagiełło i wojska krzyżackie.

OD LEWEJ: Marek Piekarski, Dariusz Kamys i Waldemar Włodek

U GÓRY Z LEWEJ: „Różne takie story”. Po premierze w Cigacicach przedstawienie grano też w Sulechowie (NA ZDJĘCIU)

– Bardzo ciekawi mnie kabaret – mówi. – Student teologii wcale nie musi być śmiertelnie poważny. Bycie religijnym nie oznacza przecież, że człowiek ma być smutny. Wręcz przeciwnie – dodaje.

Teatr w Cigacicach to świetna zabawa nie tylko dla aktorów, ale i samego reżysera. – Ja strasznie lubię pracować z ludźmi, którzy chcą. Oni nie mają z tego żadnych pieniędzy, a tylko i wyłącznie satysfakcję – zauważa D. Kamys. Wszystkie zebrane pieniądze przeznaczane są na plac zabaw dla dzieci. Zespół w Cigacicach ma już nawet swoją nazwę. – Kiedyś był jakiś dziennikarz, a ja palnąłem: „Teatr Wielki”. Zderzenie słów „wielki” i „Cigacice” wydawało mi się komiczne. I tak już zostało. On faktycznie jest wielki. Nie pomieszczeniem, nie budżetem, ale wielki chęciami – mówi reżyser. – To dla wszystkich duże przeżycie, bo nikt z nich na co dzień tego nie robi. Można byłoby w tym czasie siedzieć przed telewizorem i oglądać serial. Ale po co? – dodaje.

Krzysztof Król

Nasza własna olimpiada

Wpław przez świat

Zabawy w wodzie są jednym z ulubionych zajęć nie tylko dzieci. Ale pluskanie to nie wszystko. Warto po prostu popływać.

W Polsce z umiejętnością pływania jest bardzo słabo – ocenia Marcin Rasch, koordynator szkoły pływania na gorzowskiej Słowiance. – Jeszcze mamy za mało basenów i nie jest jeszcze tak popularne aktywne spędzanie wolnego czasu – dodaje. Sam pływa od dawna. Swego czasu trenował kanadyjkarstwo. Dziś absolwent AWF, jest zawodowym ratownikiem i instruktorem pływania. W swej szkole uczy już pięcioletków. Choć dzieci łatwiej oswajają się z wodą i szybciej nabierają właściwych nawyków od dorosłych, którzy są dużo „sztywniejsi”, to jednak górnej granicy wieku nie ma. Wszyscy zaczynają od najprostszych ćwiczeń. Najpierw trzeba nauczyć się wydychać powietrze z całkownicie zanurzoną głową, potem, leżąc na plecach, zauważyć, że woda unosi ciało człowieka. Gdy wtedy dołoży się ruchy rąk i nóg – ruszamy



Nad wodą konieczny jest rozsądek. Skoki mogą okazać się tragiczne w skutkach



11-letni Wojtek ma za sobą już 950 metrów. Umie pływać od dwóch lat. Nauczył się tej sztuki właśnie na gorzowskim basenie

z miejsca. Teraz można odwrócić się na brzuch, zaczynając od zajęć z deską. Z czasem deska przestaje być potrzebna, a adepci pływackiej sztuki przyswajają sobie kolejne style: kraul, klasyczny, czyli popularną żabkę, a nawet najtrudniejszy styl motylkowy, czyli delfin. Na Słowiance kurs ma 20 godzin. Zajęcia są dwa

razy w tygodniu przez około trzy miesiące. – Nie uczymy pływania wyczynowego, ale poprawności technicznej. Na zajęciach są też skoki. Jeśli więc ktoś wpadnie do wody, będzie wiedział, jak się zachować – mówi M. Rasch.

Swe umiejętności można potwierdzić formalnie. – Ratownicy prowadzą egzaminy na tzw. karte

pływacką – mówi ratownik Tomasz Wieczorek. Warunki powodzenia to: przepłynięcie 200 metrów w dowolny sposób, w tym przynajmniej 50 metrów na plecach, skok do wody z wysokości co najmniej 0,7 metra oraz przepłynięcie pod lustrem wody co najmniej 5 metrów.

Ks. Tomasz Gierasimczyk

komentarz

MARCIN RASCH

instruktor pływania

Hop do wody!

Woda bardzo dobrze kształtuje naszą postawę. Ucząc się pływać, chcąc nie chcąc, korygujemy wszystkie wady kręgosłupa, pleców, nóg i stóp. Poza tym w wodzie mięśnie odpoczywają, a jednocześnie wyrabiamy siłę, koordynację ruchów i kondycję. Wszystkie cechy motoryczne są rozwijane, i to bez żadnego obciążenia kręgosłupa, co występuje w innych sportach: bieganiu, narciarstwie czy ćwiczeniach na siłowni.

Zamiast Pekinu

Sport to na szczęście coś więcej niż telewizyjne transmisje, choćby z najbardziej rozreklamowanych imprez świata. W tym wakacyjnym cyklu zapraszamy do poznawania i uprawiania różnych dyscyplin sportowych. Indywidualnie i z rodziną.

Lato wiosny Kości

EWANGELIZACJA. Od domu do domu, na chodnikach, w parkach, na placach **młodzi głoszą Dobrą Nowinę.** Ich orężem jest słowo Boże i świadectwo życia.

tekst i zdjęcia

MAGDALENA KOZIEL

mkoziel@goscniedzielny.pl

Jak mówią, są zakochani w Bogu. Zaru ich świadectwa, radości i poruszającego zaufania Opatrzności doświadczyli mieszkańcy parafii w Jaczowie i Szczańcu. Ci młodzi ludzie są znakiem „wiosny Kościoła”.

Na własnej skórze

We wsiach parafii Jaczów głosić Jezusa wyruszyło pięćdziesięciu uczestników kursu „Paweł”, który prowadziła Wspólnota św. Tymoteusza w Gubinie. Wyruszyli na dwudniową ewangelizację. Szli według przepisu Pana Jezusa, po dwóch lub trzech, bez pieniędzy, jedzenia i napoju, bez zapewnionych noclegów. – Mielśmy ze sobą tylko Pismo Święte i nic więcej – mówi Modest Aniszczuk z Wrocławia. – Po raz pierwszy wzięłam na serio

słowa Ewangelii „Idźcie i głosćcie!” – dodaje studiująca w Lublinie Marta Miller. Wyruszyli m.in. do Jaczowa, Jerzmanowej i Ruszowic, wierząc w Bożą Opatrzność, która zapewni im wszystko, co konieczne. I rzeczywiście, nie chodzili głodni. Nikt też nie został bez dachu nad głową. Pukając do drzwi, przede wszystkim głosili Dobrą Nowinę o Jezusie. Doświadczyli różnych reakcji. – Jedni otwierali i przyjmowali nas z życzliwością, inni wypuszczali na nas psa, albo mówili, że to ich nie interesuje. Naszym udziałem stało się doświadczenie samego Jezusa, którego też nie wszyscy chcieli słuchać – opowiada Michał Gałus, kleryk z Lublina. Były też spotkania poruszające. – Z rozmów „o pogodzie” schodziliśmy na ważne tematy. O działaniu Bożym w ich i naszym życiu – mówi Modest. Czasami ważne było wysłuchanie zagmatwanej historii czyjegoś życia i zapewnienie o modlitwie.



Wydali owoce

– Zastanawiałem się, czy nietypowe formy ewangelizacji można stosować tylko w Jarocinie albo na Woodstocku? Zadałem sobie pytanie: czy parafia może być miejscem ewangelizacji? Myślę, że jest to nawet trudniejsze, głosić Jezusa w miejscu, gdzie ludzie żyją

od lat, gdzie nawiązały się silne relacje, ale też sąsiedzkie niesnaski – uważa proboszcz ks. Piotr Matus. Owoce było widać już pod koniec pierwszego dnia ewangelizacji. Młodzi na Msze św. przyprowadzili ze sobą tych, którzy otworzyli przed nimi swoje domy. – Bardzo się cieszę z tego spotkania. Mogliśmy całą rodziną z naszymi



– Wiara jest dla nas najważniejsza w życiu – podkreślają Zbigniew i Justyna Sokalscy z Jaczowa. Na nocleg przyjęli kleryków z Lublina



– Ewangelizując, mamy również okazję do ożywienia swojej wiary – zapewniają Anna Wojtaszak, Dominika Olczak i Jan Gruchota ze Szczańca

ioła



– Sakrament spowiedzi i codzienna Eucharystia powodują, że młodzi szaleją, bo czują się wolni – mówi ks. Leszek Zioła

PONIŻEJ: Błogosławieństwo i modlitwa nad mieszkańcami na koniec dnia



pięcioro córkami posłuchać ich świadectwa i pomodlić się – mówi Anna Radziej. Zbigniew i Justyna Sokalscy czekali na ewangelizatorów od samego rana. – Takie rozmowy o Bogu są nam bardzo potrzebne, warto na nie poświęcać czas – mówi pani Justyna.

Ks. Matus twierdzi, że skutki ewangelizacji widać nie tylko na tej jednej Mszy św. – Przychodzą do mnie parafianie i dziękują za to doświadczenie. Ktoś mówi, że w końcu pogodził się ze śmiercią bliskich, ktoś inny, że dzięki rozmowie z biorącym udział w ewangelizacji kapłanem dowiedział się, że może przystępować do sakramentów – zapewnia. Ewangelizacja działa też w drugą stronę. – Dla samych ewangelizatorów ważne było to, że próbowali dzielić się Ewangelią w różnych okolicznościach życiowych – mówi prowadzący kurs „Paweł” ks. Tomasz Matyjaszczyk ze Wspólnoty św. Tymoteusza.

Bóg daje wolność

„Don Bosko, don Bosko, z Tobą jedziemy na ostro...”, śpiewali z werwą młodzi w parafialnym kościele pw. św. Anny w Szczañcu. Gitary, bębny, taniec i las niebieskich chust zapowiadały, że tego wieczoru będzie się tu sporo działo... Tak zaczęła się XVII Salezjańska Pielgrzymka Ewangelizacyjna na Jasną Górę. Zjechało się na nią trzystu pięćdziesięciu młodych z całej Polski. Dzień przed wyruszeniem młodzież poprowadziła ewangelizację we wsi. Te kilka godzin spędzonych w parku to czas na świadectwa, taniec, teatr, pantomimę, głoszenie słowa Bożego i wspólny z mieszkańcami Apel Jasnogórski. I tak już od siedemnastu lat wyglądają wieczory w kolejnych miejscach postoju pielgrzymki m.in. w Szczañcu, Babimoście, Wolsztynie czy Lesznie. A zaczęło się w 1991 r. na spotkaniu Ojca Świętego z młodzieżą na Jasnej Górze. – Jan Paweł II powiedział wtedy do nas, tam zebranych: „Idźcie i głoscie Ewangelię!” – przypomina salezjanin ks. Leszek Zioła. – To było

zaproszenie do ewangelizacji. Potraktowaliśmy je z ks. Darkiem Presnałem bardzo serio i postanowiliśmy poprowadzić pielgrzymkę dla młodych, w czasie której będą oni mogli ewangelizować innych – opowiada. Nie chodziło im tylko o to, żeby przejść trasę pielgrzymki do Częstochowy, ale by w czasie tej wędrowki dać coś z siebie spotykanym ludziom. Dobry przykład skuteczności takiej ewangelizacji dawał św. ks. Jan Bosko, założyciel salezjanów. To właśnie on wpadł na pomysł, że najskuteczniej można głosić Dobrą Nowinę wśród młodych ludzi przy pomocy samej młodzieży. – Z mieszkańcami młodzi dzielą się radością, miłością i przyjaźnią – tłumaczy ks. Leszek.

Z entuzjazmem

Po wieczornym spotkaniu pielgrzymi rozchodzą się na nocleg. Tutaj też ewangelizują. – Czasem rozmowy o Panu Bogu trwają nawet całą noc – mówi Dominika Olczak ze Szczañca, która z salezjanami pielgrzymuje już trzeci raz. Jest pewna, że świadectwo pielgrzymującej młodzieży motywuje jej rówieśników z Szczañca do zastanowienia się nad własnym życiem. Dostrzegają to też dorośli. Dla Teresy Starzyńskiej, dyrektorki Domu Kultury



Modest Aniszczuk ewangelizował w Ruszowicach tylko z Biblią w ręku

w Szczañcu, pobyt salezjańskich pielgrzymów we wsi jest bardzo ważny. – Ta pielgrzymka wnosi bardzo wiele w nasze środowisko. Ożywia naszą wiarę i wpływa na młodsze pokolenie – tłumaczy. Pielgrzymkowe doświadczenia pozostają na dłużej. Nauczycielka Aldona Pokrywczyńska szła z pierwszą grupą, która z Szczañca wyruszyła w 1992 r. Potem związana była z działającą przy parafii grupą salezjańskiej młodzieży. – Cieszę się, że ta pielgrzymka wciąż trwa – mówi.

Na pożegnanie pielgrzymi wznoszą ręce w geście błogosławieństwa. „Niech was Bóg błogosławi i strzeże, niech Pan daje pokój wam”, modlą się nad mieszkańcami. Odchodząc, obiecują dalszą modlitwę. ■



Teresa Starzyńska i Aldona Pokrywczyńska (OD LEWEJ) z salezjaninem ks. Dariuszem Presnałem

PANORAMA PARAFII pw. św. Anny w Szczañcu

Młodzi i starsi od Bosko

Kiedy wjeżdża się do Szczañca od strony Sulechowa, najpierw widać kościół. Potem rzuca się w oczy intrygujący napis: „**Jezus nie potrzebuje litości, ale nawrócenia**”.

Powojeńną historię parafii tworzyła głównie ludność z Kresów Wschodnich, przybyła wraz z ks. Piotrem Zaworą. Od 1976 roku parafią kierują księża salezianie, duchowi synowie ks. Jana Bosko. Pierwszym proboszczem z tego zgromadzenia był ks. Jan Kłoczko. Od trzech lat proboszczem jest ks. Stanisław Pikor.

Nowina w drodze

Ze Szczañca na Jasną Górę od 17 lat wychodzi Salezjańska Pielgrzymka Ewangelizacyjna (SPE). Tworzą ją grupy ewangelizacyjne z całej Polski. – Na koniec lipca zjeżdża się tu kilkuset młodych ludzi. To pielgrzymka



Parafialny zespół Caritas istnieje tu od czterech lat. – Dary otrzymujemy od Caritas diecezjalnej – mówi prezes Wiesław Deręgowski



Ten napis ma parę ładnych lat. Namalowali go kiedyś, przy okazji pielgrzymki, nasi poprzednicy. A my go co roku poprawiamy – wyjaśniają młodzi ze SPE

inna niż wszystkie. Oprócz tradycyjnych elementów, salezianie i młodzież ze SPE napotkanym na trasie ludziom głoszą Dobrą Nowinę. Oczywiście zaczynamy od Szczañca – mówi proboszcz. Zanim młodzi wyruszą do Czarnej Madonny, najpierw przez cały rok uczestniczą w formacji SPE. – W każdy piątek mamy Mszę św., a potem spotkanie oparte na specjalnym konspekcie – wyjaśnia Dominika Olczak. – W czasie wakacji przygotowaliśmy ewangelizację i scenki na pielgrzymkę – dodaje. W noc przed przybyciem pielgrzymów do jakiejś miejscowości młodzież na wszystkich ulicach wywiesza ewangelizacyjne hasła.

Już cztery tony

Choć starsi w latach, ale zapewne młodzi duchem są

wolontariusze parafialnego zespołu Caritas. O potrzebie takiej grupy nie trzeba tutaj nikogo przekonywać. – Do parafii należy osiem miejscowości. W siedmiu z nich upadł PGR, a w jednej spółdzielnia produkcyjna – wyjaśnia Wiesław Deręgowski, prezes PZC, które liczy 19 wolontariuszy i ma pod swoją opieką blisko 580 osób. Magazyn przy plebanii otwarty jest w każdy czwartek od 10.00 do 12.00. – Już w tym roku rozdaliśmy ponad cztery tony żywności. Otrzymujemy ją z diecezjalnej Caritas, ale organizujemy też zbiórki przedświąteczne oraz sami szukamy sponsorów – wyjaśnia prezes. Zespół włącza się także w zbiórki przyborów szkolnych rozdawanych potem dzieciom na festynie parafialnym.

Krzysztof Król

Zapraszamy na Msze św. niedzielne

Szczaniec	8.00, 11.00
Kupienino	9.30
Rzeczyca	9.30
Myszęcín	11.00
Ojerzyce	12.30
Wilénko	12.30



Zdaniem proboszcza



Parafia liczy 3400 mieszkańców. Tworzy ją siedem miejscowości: Szczaniec,

Myszęcín, Rzeczyca, Ojerzyce, Kupienino, Wilénko, Wityń i Nowe Karcze. W pięciu pierwszych są kościoły. Oprócz parafialnego zespołu Caritas i grupy Salezjańskiej Pielgrzymki Ewangelizacyjnej mamy 80 ministrantów, 13 róż Żywego Różańca oraz Stowarzyszenie Salezjanów Współpracowników. To coś w rodzaju rady parafialnej, która nie tylko troszczy się o kościoły, ale także pomaga w prowadzeniu oratorium, zajmowaniu się młodzieżą, czy przy organizacji wydarzeń parafialnych. Aktualnym wyzwaniem duszpasterskim jest bez wątpienia troska o rodziny. Coraz więcej jest par, które chcą „się sprawdzić”. Żyją kilka lat razem, zanim podejmą decyzję o małżeństwie. Takich młodych żyjących nie po katolicyku jest coraz więcej. Radością duszpasterską jest to, że nie brakuje młodzieży i zaangażowanych ludzi. Spotykam się tu z wielką dobrocią i serdecznością parafian.

Ks. Stanisław Pikor

Urodził się w 1952 roku w Czaplunku na Pomorzu. Jako kleryk pracował trzy lata w Boliwii. Święcenia kapłańskie przyjął w Łądzie nad Wartą w 1982 roku. Zanim został proboszczem w Szczañcu, posługiwał m.in. w Sieniawie Lubuskiej, Kawnicach, Różańsku. Budował także szkołę salezjańską w Szczecinie.